

Czytelnik bez biblioteki

Wirus donkichotyzmu

Jak zostać Don Kichotem? To bardzo łatwe. Recepta jest prosta, zrozumiała dla każdego. Wystarczy czytać, dużo czytać. Można czytać – według rady Cervantesa – powieści rycerskie. Można czytać poezję romantyczną. Ale też – w ubiegłym stuleciu – można było czytać młodych poetów z ostatniej wojny. Wiersze tych, którzy zginęli w oknie lub wieży pałacu Blanka, na barykadach Starego Miasta, w bramie domu na Muranowie, którzy rozstrzelani zostali z gipsem w ustach pod ścianą jednej z kamienic Nowego Światu.

Różne rzeczy można czytać. Można czytać Marksa, Engelsa, Lenina albo Hitlera. Można czytać Hegla, Schopenhauera i Nietzschego. Albo można czytać broszury polityczne, przemówienia wodzów, manifesty ideologów, stenogramy z obrad partyjnych, kalendarze i antologie partyjne, tasiecowe wywody różnych działaczy. Don Kichot masochista upora się z nimi bez trudu, pełen żarłocznej determinacji i energii.

Wreszcie dla nowych Don Kichotów nadszedł w wieku XX czas błogosławiony: mogą w ogóle nie czytać. Lub czytać coś innego niż książki i stronicę zaczerpniętą drukarską farbą. Mogą znaleźć – w dobie propagandy nasilonej, w dobie reklamy – książki fragmentaryczne, rozproszone, wyciągi ze świętych ksiąg, ich ekstrakty, rozmieszczone na transparentach, zawarte w napisach, hasłach, inwokacjach, jakimi do niedawna upstrzone były ściany fabryk, domów lub przęsła mostów. Don Kichotowie nowego czasu mogą więc być czytelnikami murów, szyb, płotów, przejść podziemnych i ubicacji. Mogą kontemplować i podziwiać teksty obrazkowe, rozjarzone na barwnym ekranie telewizora.

Mogą, na koniec, dopuścić do ostatecznej abdykacji wzroku, za którego przyczyną stali się ofiarami tradycyjnego wirusa „donkichotyzmu”. W epoce megafonów i radia, jak w czasach homeryckich, mogą jedynie słuchać. Także ucho okaże się marnie strzeżoną bramą duszy. Wirus Cervantesa wtargnie

tędy z szybkością, jakiej pretendenci do losu i kondycji Don Kichota nawet nie podejrzewają.

Musimy tu jednak pozostać przy księgach. To one zgubiły Don Kichota i im właśnie – w testamencie – zaprzysiął zemstę. Czy możemy i czy zechcemy być egzekutorami jego testamentu?

Nie wystarczy bowiem czytać księgi, by zostać Don Kichotem. Trzeba czytać je w sposób szczególny. Trzeba stać się czytelnikiem doskonale niedoskonałym, czytelnikiem – wyznawcą. O takim czytelniku marzą prorocy, brutalni reformatorzy polityczni. Takiego czytelnika szukają filozofowie – buntownicy, którzy swym ideom i hasłom nadać chcą byt praktyczny.

Takiego czytelnika szukają filozofowie

Między autorem a czytelnikiem, między uwodzającym i uwiedzionym rodzi się wówczas zła miłość, grząski obszar fanatyzmu. Uwiedziony czyta jedynie uwodzającego lub innych, wcześniej uwiedzionych. Czyta jeden tekst, który uwodzi go bez reszty, choć rozproszony bywa i zwielokrotniony w tekstach wielu. Czyta więc teksty pokrewne, bliźniacze, napełnione tym samym światłem i powietrzem. Inne światło razi go, oślepia. Inne powietrze drażni i dławi.

U kresu tego urzeczenia widzimy czytelnika dotkniętego paralizem. Obezwładnia go całkowicie przekleństwo lektury. Czytelnik ów bez sprzeciwu wchłania lekturowe trucizny i narkotyki, niezdolny do odkrycia zbawczej antytoksyny. Więcej, czytelnik taki staje się sędzią innych czytelników: krnąbrnych, niezależnych, śmiałych w poszukiwaniu nowego, zadrukowanego obszaru. Nim uzna, że godzi się ich nękać, łamać, prześladować i zabijać, udoskonali sztukę zabijania przedmiotów ich wiary i miłości.

Ci, którzy tamują innym dostęp do książek; ci, którzy trzebią biblioteki, tolerując w nich jedynie własne, święte teksty; ci, którzy palą książki na placach dwudziestowiecznych miast; ci, którzy mieli książki w młynach pogardy, głupoty, strachu i pośpiechu; ci wieloimienni tropiciele, nihilistyczni korektorzy i higieniści ducha... – wszyscy oni marzą wciąż o czytelniku idealnie jednostronnym, ślepym i bezwolnym. O Don Kichocie „negatywnym”, statystycznym, zwielokrotnionym. W tym nowym Don Kichocie indywiduálny gest rycerza przekształca się w odruch nawyku i przymusu. Wiek XX – w istocie – unaoczniał nam, że kontrolerzy cudzych lektur mogą z łatwością – na masową skalę – stać się producentami nowych Don Kichotów, zorganizowanych przez partie, policje i armie.

Dzięki mrocznej humorystyce Cervantesa możemy się rychło przekonać, że partie, policje i armie nie są mechanizmem abstrakcyjnym, aparaturą bezcielesną i anonimową. Kto śledził kariery luminarzy totalitarnych, ten

bez trudu nada figurom Cervantesa powszechnie znane, złowrogie imiona. Wszelkie armie, partie, policje składają się – jak u hiszpańskiego diagnosty – z jakichś balwierzy, plebanów, parobków, siostrzenic, sąsiadów, z egzemplarzy ludzkich naznaczonych skazą dobroduszości, głupoty i źle ukierunkowanej woli. Atomy ludzkie są więc śmieszne, ich suma jest zawsze groźna. Atomy ludzkie są uczłowieczone przez ów płodny humor Cervantesa.

Jątrzeni bez ustanku przez rozedrgane, migotliwe haczyki humoru Cervantesa, z trudem dostrzegamy w końcu, że wymierzony został przeciwko nam, przeciwko zdezorientowanym i oszołomionym czytelnikom eposu – wielki, monsturalny hak, tak dobrze znany czytelnikom Aleksandra Wata.

Humor staje się u Cervantesa narzędziem tortury, tyle że charakter i powagę owego narzędzia czytelnicy odkrywają powoli, stopniowo poznając świat niehumanitarny w swych ludzkich, śmiesznych kontekstach i uwikłaniach.

Tomasz Mann wspomina, że słuchacze *Procesu* Franza Kafki długo zachowywali powagę, by na koniec wybuchnąć trudnym, bolesnym śmiechem. Czytelnicy Cervantesa – odwrotnie – kwitują jego dzieło wybuchami wczesnego i częstego śmiechu, nie przewidując, że śmiech ów prowadzi ich do niemej, milczącej, pełnej przerażenia powagi.

Jak zabić Don Kichota? Jak ujarzmić szaleńca, usunąć przyczynę jego choroby? To również proste, trzeba wykorzystać metodę, dzięki której stał się Don Kichotem, skorzystać z jej odwrotności.

W scenariuszach przygód kultury europejskiej ten fragment dzieła, o którym myślę, winien być potraktowany jako sytuacja modelowa. Jako bezbłędna, wirtuozowska instrukcja dla wieloimiennych, niezmordowanych, przeszłych i przyszłych funkcjonariuszy społecznego zdrowia i ładu.

Don Kichot wraca z pierwszej wyprawy. Wraca głodny i poturbowany. Potrzebuje snu, wywczasu, namysłu. I oto armie, partie, policje, upostaciowane w figurach balwierza, plebana, parobka, siostrzenicy, sąsiada i przyjaciela korzystają z tej godziny snu, by dokonało się Peiperowskie niemal wtargnięcie do biblioteki Don Kichota. Dokonuje się to, co tak dobrze znamy z praktyk naszego, ubiegłego stulecia.

Rewizja według Cervantesa! Być może, jedna z najdotkliwszych, najbardziej przewrotnych rewizji, jakie zaprotokołowane zostały w dziejach literatury. Dłonie postronnych szarpią, kaleczą, patroszą, wertują księgi. Oczy zazierają bezkarnie do wnętrza tomów. Długo trwa to miętoszenie, macanie, przerzucanie ksiąg, uważne penetrowanie szaf i półek, plugawienie Don Kichotowego zbioru.

Kto kocha książki, także jako przedmioty, wie dobrze, jak bolesna jest taka interwencja bezczelnej łapy ludzkiej. Kto zna esej Janusza Tazbira o zawartości polskich bibliotek szlacheckich, domyśla się również, z jaką miłością i trudem, z jakimi wyrzeczeniami ubogi Don Kichot musiał scalać

swój księgozbiór, bowiem rewidenci znaleźli u niego „z górą sto foliałów pięknie oprawnych oraz inne, mniejsze”.

Szkoda, że nikt z wielkich choreografów XX wieku nie ujrzał w tej rewizji udatnego materiału, z którego uformować by można język gestów zła, przemocy, gwałtu i pogardy, wyłonić dzięki niemu balet odruchów, grymasów i min odrażających, wstrętnych w swym prymitywizmie i wulgarności.

Ale szósty rozdział I księgi Don Kichota nie jest – chwała Bogu – jedynie librettem do pantomimy. Ci, którzy tak ofiarnie badają wnętrze biblioteki Don Kichota, są wielce gadatliwi, obarczeni grzechem wielomówności, a gadatliwość ta musi być przedmiotem naszej uwagi i analitycznych podejrzeń. Daje nam ona asumpt do wytoczenia śledztwa przeciwko tym, którzy właśnie śledztwo prowadzą.

Cervantes odkrył niemal język nowoczesnego śledztwa. Unaoczniał swoistą „poetykę” rewizji. Scalił jej tożsamy i zmienny słownik, którego składniki – my, uważni świadkowie rewizji – musimy z kolei poddać nowej rewizji. Czy Cervantes – powtarzam – nie ukrył tu głęboko grzesznej i nieśmiałej intencji, według której celem rewizji ma być nie ten, kogo rewidują, lecz ci, którzy dokonują aktu rewizji?

W tym szczególnym, komicznie smutnym rozdziale Don Kichota godzi się zauważyć sąsiedztwo dwu akapitów, sąsiedztwo tak pozbawione granic, konturów, tak płynne więc, zgodnie przenikające się i dopełniające, że nie powstydziliby się tego nagłego i przerażającego spłotu sam Tadeusz Borowski. W dwu akapitach wykorzystano dwa różne rekwizyty. A jednocześnie dwie różne techniki niszczenia zła.

Oto – w pierwszym akapicie – gospodyni Don Kichota, spiesząc „z miseczką święconej wody i kropidłem”, powiada: „Macie, dobrodzieju, mości licencjacie, pokropcie tę izbę, żeby żaden czarownik, których wiele siedzi w tych książkach, nie zaczarował nas za karę, że chcemy ich przepędzić ze świata”¹.

W drugim akapicie mówi się już o innej technologii. O „karze ognia”. O idei i praktyce śmietnika. Trudno dziwić się Cervantesowi, że pamiętał o technologii tak biegle wykorzystanej przez Świętą Inkwizycję i udoskonalonej przez dwudziestowiecznych bałwochwalców ognia, przez różnych promotorów futurystycznego i rzeczników totalitarnego stosu.

U Cervantesa podziwiać należy ryzykowne, odważne tempo, nieludzki rytm, w jakim żywił wody, ba, święconej wody, jedną się z żywiołem ognia: „...żadnej nie należy przepuścić – mówi siostrzenica Don Kichota – wszystkie bowiem były szkodliwe, najlepiej wyrzucić je przez okno na wewnętrzny

¹ M. de Cervantes Saavedra, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, tłum. A.L. Czerny, Z. Czerny, Warszawa 2016. Wszystkie cytaty z dzieła Cervantesa pochodzą z tego wydania.

dziedziniec, zrobić z nich stos i podpalić; albo wynieść je na podwórze i tam ognisko rozniecić, aby nam dym nie dokuczał”.

Autor niniejszych, eseistycznych głos do księgi Cervantesa nie może się – w tym miejscu – ustrzec przed uwagą nazbyt może intymną i bolesną, lecz konieczną. Obrazy książek wyrzucanych przez okno po powstaniu warszawskim, książek walających się w piasku bielańskim, są przecież pierwszymi obrazami, jakie zachowała jego wczesna pamięć. Niektóre z tych książek, osmalone i zbrukane, z plamami wilgoci, znajdują się dotąd w jego bibliotece.

Naiwna, prostoduszna siostrzenica Don Kichota nie potrafi przewidzieć, że dym palonych książek, gdziekolwiek i kiedykolwiek były całopalone, zatruje duchowe powietrze Europy, skazi nasze symboliczne płuca. Ze dym ów nie rozrzedza się, nie rozprasza w zgodzie z prawami potocznej chemii, lecz wyraźnie gęstnieje, ulegając prawidłom innej, duchowej, gorzkiej chemii i pamięci.

Toczy się więc to osobliwe śledztwo przeciwko książkom – w zastępstwie ludzi. Granica między książkami a ciałami ludzkimi jest wątpliwa, nader śliska. Łatwo ją przekroczyć w euforii zapału i sądenia. Czy pozostajemy jeszcze w obszarze retoryki? Czy znajdujemy się już w strefie wyrazistych, twardych decyzji? Czy są to jeszcze ponure, rubaszne figle językowe, czy już wyroki – bez prawa apelacji? „Niech więc wszystkie idą na podwórze – rzekł proboszcz – aby zaś spalić królową Pintikwinestrę i Pasterza Darinela z jego sielankami i z diabelskimi, a zawiłymi wywodami jego autora, spaliłbym razem i rodzzonego ojca, gdyby mi się zjawił pod postacią błędnego rycerza”.

Koryfeuszowi chóru sekunduje zgodny głos aprobaty i entuzjazmu. W tej scenie *Don Kichota*, w scenie rewizji i sądu doraźnego kryje się coś z jarmarku, z wrzaskliwego, zenującego odpustu, z ponurej zabawy, z tłumnego, karykaturalnego widowiska, właściwego płótnom Breugla lub Boscha.

Cervantes nie opisuje zresztą twarzy, których nosiciele zajęci są złowrogim i szpetnym procederem. Czy plamy owych twarzy, puste i ślepe, porzucił celowo, zaniechał wypełnić je konkretną treścią po to, by nam udostępnić tę możliwość? By dać do zrozumienia – ponad krajami i wiekami – że sporządza jedynie wzór listu gończego, że oferuje tylko prowizoryczne, schematyczne podobizny winnych, my zaś sami musimy w te gotowe kontury wpisać realne, znajome twarze?

Wystarczy więc tytuł księgi, by ogłoszony został wyrok skazujący. Wystarczy nazwisko autora, by wyrok przyspieszyć. Wystarczy pamięć o dziele, ułomna, kapryśna, fragmentaryczna, by wyrok zyskał podwójną zasadność. Egzekutorzy sądu doraźnego nad księgami wydają się – na przemian – sumienni i flegmatyczni, jowialni i surowi, pełni nonszalancji i gorączkowej energii.

Ta brygada sanitarna ściga książki jak insekty. To komando specjalne, uformowane przez Cervantesa, cementowane przez wspólnotę mowy, przez

zargon grup operacyjnych, przez dosadność skrótów, umownych sygnałów, poręcznych epitetów, spiętrzonych przymiotników. Książki są szkodliwe, bezecne, zatrute, jadowite, kłamliwe, zwariowane, niebezpieczne, szalone... Znamy dobrze ten słownik, słownik przekleństw i złorzeczeń, pomnożony i ulepszony, o tyleż bardziej głośny w tubach dwudziestowiecznych megafonów.

Absurd inwigilowania i niszczenia wciąż jak nałóg pijacki. Skoro jedne książki mogą być winne i szkodliwe, to w wyobraźni cenzorów musi zainstalować się domysł, że wszystkie są szkodliwe, choć obciążone innym gatunkiem winy i szkodliwości. A zatem „w ogień, bez żadnego przebaczenia” – woła domorosły inkwizytor. Akt łaski nie jest możliwy. Precz z księgami głównymi, bowiem – jak mówi Cervantes – dają „początek budowie stosu, który wznieść należy”. Precz z książkami pobocznymi, z książkowym planktonem, precz z poezją, z tomami wierszy i poematów:

Aj, dobrodzieju – rzekła siostrzenica – może je śmiało kazać jegomość spalić jak tamte, bo Boże zawaruj! niech bo mój wuj wyleczywszy się z choroby rycerskiej wertować ją zacznie, nuż nabierze ochoty zostać pasterzem, bładzić po gajach i łąkach, śpiewając i grając na gęślikach, albo co gorsza, zostać poetą, co – jak mówią – jest chorobą nieuleczalną i zaraźliwą.

Wzrusza mnie i urzeka pewien szczególny manewr opowiadającego, dzięki któremu w sidła cenzorów wpada także książka pana Cervantesa. Obecność tej książki w Don Kichocie, obecność *Galatei* Miguela Cervantesa, jej miejsce na półce błędnego rycerza, „zaręczą” – po Norwidowemu – wiarygodność fikcji i wymierność realności. Musi także świadczyć o ranach i bliznach, jakich doznał wcześniej autor eposu.

Scena owa porusza mnie swym naiwnym, serdecznym, rodzinnym komizmem, bowiem – wobec własnego dziecka – w odruchu sympatii, rzekłbym, braterskiego i kumoterskiego sojuszu między autorem i narratorem Cervantes wyrok uchylił:

Już wiele lat – mówi jedna z figur powieściowych – ów Cervantes jest moim wielkim przyjacielem i wiem, że bardziej doświadczon w nieszczęściach niż w wierszach. Książka jego zawiera pewne dobre pomysły, coś obiecuje, ale nie kończy, trzeba czekać zapowiadzianej Drugiej części. Myślę, że gdy się poprawi, uzyska pełną pobłażliwość, której dziś mu się odmawia. Tymczasem, zanim to uczyni, trzymajcie ją w zamknięciu w waszej komnacie.

Cenzorzy wszystkich epok winni odpoznać się w szóstym rozdziale I księgi *Don Kichota*. Ułatwia to im Cervantes, szczodry i jednocześnie perfidny w mnożeniu argumentów. Jakże są niezłomni, czynni, nieustępliwi, jak ochoczo krzątają się przy różnackich ideowych pewnościach i słuszności. Jak kryją

się chytrze za kulisami chrześcijańskiego umiłowania prawdy. Jak dzielnie akcentują własną prawość i czystość duchową. Jak ofiarnie wspierają się, wzajem doskonałą w dialektyce szalbierstwa i pychy.

Cervantes „uczłowiecza” jednak tych niezmordowanych kuchcików cenzury. Nie odmawia im, nazbyt hojnie, prawa do wynaturzonej miłości, do podziwu, stłumionej wdzięczności, prawa do ludzkiego żalu za pewnymi księgami, które – jak sądzą – winny być ocalone przed natychmiastową zagładą.

Może więc księgi te należy przemycić w złodziejskich kieszeniach? Może trzeba je zachować w prywatnej szufladzie? I cenzor dręczony jest bowiem przez diabła wątpienia, a natura cenzorska, bardziej niż inna, wydaje się szczególnie dwoista w sporze działań oficjalnych z odczuciami prywatnymi. Ilu księgom – myśli taki cenzor – mógłbym przynieść ratunek, gdyby można je było kastrować jak dokuczliwe zwierzęta, gdyby dało się z nich wytrzebić części zbyteczne i chore, gdyby dało się je wypalić rozpalonym żelazem, gdyby można je było wyplenić jak chwasty między kwiatami.

Cervantes, który zanotował wszystkie te bezokoliczniki, jest biegłym wynalazcą i kodyfikatorem metafor, na zawsze już powiązanych z urzędem cenzora. Cervantes odsłonił w funkcjonariuszach cenzury zalety właściwe różnym służbom i powołaniom. Czy nie trzeba tu mówić o służbach weterynaryjnych? Cervantes ujawnia w cenzorze specjalistę od zadawania tortur, a także gospodarza i ogrodnika. Cenzor przechadza się więc nieustannie po ogrodach sztuki, po obszarach powierzonych jego gospodarskiej opiece, by kaleczyć je, zniekształcać, pielęgnując ogrody w zgodzie z własnymi uzurpacjami ładu, symetrii i społecznej przydatności.

Kto dozwala na absurd niszczenia, kto nie usuwa – w porę – małych dziur, szczelin, szpar, luk, jakimi wtargnąć może ten żywioł groźny i szybki, tego absurd otacza nagle ze wszystkich stron i całkowicie obezwładnia. Zniewalająca siła absurdu okaże się jednak dobroczynna dla artysty, który odkrywa – dzięki niej – tajemnice, niemożliwe do wytropienia i uchwycenia w czasie dziejowym artysty, czasie dziejowym księgi, czasie jej dramatów i bohaterów.

Dzieje obłądnej nocy, nocy prześladowców, cenzorów i szyderców, nocy wykrętnych lamentów nad szaleństwem rycerza, nocy wypoczynku i snu Don Kichota – sumuje pisarz w spokojnym, protokolarnym zdaniu: „Tej nocy gospodyni zebrała i spaliła wszystkie księgi, jakie były na podwórzu i w całym domu, a były tam, które powinny być spalone, ale i takie, które zasługiwały na zachowanie po wieki w archiwach; lecz nie pozwoliło na to ich przeznaczenie oraz lenistwo cenzora i tak sprawdziło się na nich przysłowie, że sprawiedliwi za grzeszników płacą”.

Ale cenzorzy Cervantesa – pamiętamy – znajdują się teraz we władzy absurdu. Zdolni są do wszystkich karygodnych przedsięwzięć, czytelnich jedynie dzięki logice absurdu i absurdalnej porażce logiki. Cenzorzy Cervan-

tesa wychylają się przeto ku naszemu czasowi, jakby studiowali uważnie prozę Kafki i Borgesa. Jakby długo patrzyli na płótna Salvadora Dali. Jakby w ich krwi, mózgu i oddechu pulsowały w naturalny sposób wszelkie objawienia surrealizmu. Jakby – swobodni wędrowcy po wiekach kultury, rzutcy erudyci i czytelnicy we wszystkich językach – znali dobrze Leśmianowską balladę o *Dziewczynie*.

Biada więc Don Kichotowi! Biada śpiącemu rycerzowi! Winien czuć zwłaszcza ten, kto nosi stygmat szaleństwa. Nie może zasnąć ów, komu przypisano legitymacje i dyplomy obłądu. Szaleniec zasypia słodko, zanurza się we wnętrze snu, lecz nigdy nie wie, jak szalony, absurdalny, groźny będzie świat, w którym się obudzi. Jak niespodziewana, koszmarna, upiorna będzie konkurencja między jego prywatnym szaleństwem a oszalałą materią świata i zbiorowością ludzi.

Don Kichot zapomniał, że przed snem – w zgodzie z wizją Kafki – trzeba solennie pożegnać świat dnia minionego i należy skupić modlitewnie wszystkie siły konieczne dla przebudzenia i odnalezienia się w dniu jutrzejszym, w świecie form i zdarzeń przemienionych, w kręgu absurdalnej metamorfozy. Tę jawną, niewybaczalną opieszałość Don Kichota wykorzystali biegle jego prześladowcy i cenzorzy:

Pleban z balwierzem uradzili, że najlepszym lekarstwem na chorobę ich przyjaciela będzie zamurować i zatynkować izbę z książkami, tak aby kiedy wstanie, nie mógł tam trafić (sądzi, że kiedy zniknie przyczyna, i skutki ustaną); jemu zaś powiedzą, że jakiś czarodziej porwał izbę razem ze wszystkim; tak też zrobili w wielkim pośpiechu.

Budząc się w świetle jawy, Don Kichot otoczony jest geografą snu, okrążony przez majaki. Oswojona realność zyskuje dlań cechy labiryntu i tunelu, zamkniętego ciężką kratą. Jak ślepiec, w skupieniu i ciszy, z własnych rąk czyni „widzące dłonie” biblijnego Jakuba z Mannowskiej tetralogii i obmacuje ściany, za którymi winna kryć się jego biblioteka. Niby bracia z ballady Leśmianowskiej usłyszeć chce bezdźwięczne głosy i skargi, tak szczelnie otomowane murem.

To, że nie dziwi się, iż dokonała się kradzież ksiąg, a także unicestwiony został pokój biblioteczny, że winą obciążyć należy czarta, potężnego czarodzieja lub złego starca, który przybył tu w obłoku dymu, na osiodłanym węźle, nie dziwi z kolei mnie – jako czytelnika rękopiśmiennej *Księgi Pamiętnikarza* Tadeusza Peipera.

Czy zaryglowana przezeń deskami, wyłączona z użytku kuchnia poety i myśliciela, z kranami pełnymi zatrutej wody, skażonej przez osaczników, „zaścianców” i „nadsuficiaków”, nie jest odmianą zamurowanej biblioteki Don Kichota? Czy znikające rękopisy, litery, barwy, smugi zapachu nie są dowodem bliźniaczej tragedii?

Don Kichot, jak bohater Borgesa, jest człowiekiem biblioteki, obywatelem swoistego Bibliopolis. Rozum Don Kichota, zbłądziwszy w labiryntach Bibliopolis, zbłądził powtórnie w lasach dantejskich wieloimiennej rzeczywistości. Don Kichot zagubi się wśród rzeczy i fantomów, jak poeta z Florencji, także dlatego, że według miar dantejskich „znajduje się na połowie drogi...” czyli – by odstąpić od nieuleczalnej choroby poetyckości – jest po prostu mężczyzną, który liczy sobie lat prawie pięćdziesiąt. Cervantes nie omieszkiał udzielić nam tej cennej informacji, chyba w głębokim przeświadczeniu, że szaleństwa dojrzałe mają inną wagę i cenę niż szaleństwa młodzieńcze, osobliwie hormonalne, niejako improwizowane i często epizodyczne.

Z tego śledztwa przeciwko księgom, z procesu przeciwko bibliotece wynurza się Borgesowski człowiek biblioteki – bez księgozbioru. O ile choroba jego poczęła się w książkowym mateczniku, o tyle cała opowieść Cervantesa będzie relacją o przygodach człowieka, który – w materialnym sensie – wolny jest od obecności książek.

Czy rzeczywiście? Świat książek można spalić i zabić tylko wtedy, gdy zabije się tego, kto – w sensie duchowym – jest pokornym i cierpliwym tragarzem ksiąg. Chowa je bowiem w zwojach własnego mózgu, w szyfrach pamięci, jak ruchomy, cielesny komputer.

Co więc będzie robił Don Kichot w obszarze dwu opasłych tomów Cervantesa? Będzie czytał teksty zachowane w pokojach własnej pamięci. Będzie cytował innych, cytując siebie, i poprzez zachowane cytaty odtwarzając zrujnowane albo zatracone budowle. Jak gałązki krystalizacyjne Stendhala cytaty owe obraść będą w roztworach jego wyobraźni, zyskując nowe znaczenia.

Będzie odtąd człowiekiem nagim, czytelnikiem nagim, bez ubrania utkane go z książek, bez materialnej pociechy łączącej się z książką, jakby znalazł się na pełnym morzu, wyspie, w lesie, w obozie koncentracyjnym lub na zesłaniu pośród śnieżnych pustaci Syberii.

Takim Don Kichotem naszego stulecia – z dziejowego przymusu – okaże się Józef Czapski, czytając Marcela Prousta – bez egzemplarza proustowskiego przed oczami. Będzie „czytał” Prousta, żmudnie i heroicznie rekonstruując w sobie nie tylko dzieło artysty, lecz także – i przede wszystkim – świat pełen subtelności, jubilerskiego i dociekliwego pietyzmu, jakiemu świat dookolny surowo zaprzeczał. Będzie trzymał w zmarzniętych dłoniach lotne, niewidzialne pajęczyny, bardziej wszakże trwałe niż świat przemocy, głodu, mrozu, wszy, tyfusu i strachu.

Gdzie ja to czytałem lub widziałem? Oto nowa cywilizacja przyniosła wyrok śmierci dla świętych ksiąg rodzaju ludzkiego. Spalone zostały wszystkie biblioteki. Zanim jednak nastąpiło to całopalenie, nim dokonała się materialna i duchowa egzekucja, znaleźli się fanatycy słowa, błogosławieni jego czciciele i obrońcy. Nauczyli się przeto – na pamięć – tekstu wielu ksiąg najważniejszych.

A potem – jak domokrażcy – recytowali chętnym słuchaczom słynne dzieła. Jedna osoba odpowiadała egzemplarzowi zatraconej książki. Była poniekąd – jak w czasach Homerowych – cielesną, dotykálną księgą, jej żywym kształtem. W tłumie osób rozpoznawało się ich imiona po tytułach ksiąg. Był więc człowiek-*Iliada*, człowiek – *Boska komedia*, człowiek – *Faust*, człowiek – *Wojna i pokój*, człowiek – *Zbrodnia i kara*...

Ze wstydem wyznaję, pełen skruchy, że uprzednie zdania więcej zawdzięczają temu, co nazywam „chwytym” Cervantesa, co określam jako pozorną, „częściową” śmierć Don Kichota, niż elementarnej cnocie filologa. O człowieku bez biblioteki mówiąc, o jego pustych dłoniach, o jego zamurowanym księgozborze, sam doświadczyć chcę nędzy i rozkoszy Donkichotowego, złowrogiego wyróżnienia. Czy go zresztą sam nie doznałem?

Nie mogę uciekać przed wyobraźnią, która winna oswajać obszary pozbawione map i oczyszczone z drogowskazów. Nie taję, że nęka mnie obfitość druku i papieru. Że odczuwam chorobę nadmiaru i przesytu. Że widzę punkty kulminacyjne, krytyczne, jakie musi dostrzec ten, kto obłączony jest nieustannie przez gęstniejące armie starych i nowych książek.

Do własnej pamięci świadomie więc apelowałem, z jej skupień, rozproszeń, znużeń, z właściwych jej szans rekrytalizacji chytrze i grzesznie pragnąłem korzystać. „Rekrytalizacje” owe dokonywały się w pamięci biednego rycerza i dokonują się nadal, w naszej pamięci, w zgodzie z przygodą Don Kichota, w lustrach ruchomych, w seriach odbić i przekształceń, które więcej dla mnie znaczą niż zewnętrzne oczywistości. Chcę poniekąd świadomie wystawić się na działanie Donkichotowej klątwy. Chcę podjąć ryzyko łączących się z nią rozterek i zasadzek. Chcę doznać pewnych odmian odwagi i błędu, ironii i żartu, by potem wycofać się na tereny pełne światła i liturgicznej solenności.

Tylko więc pozornie, na chwilę, dozwoliłem, aby umknął przed moim piórem tytuł owej prozy, tak przerażającej w fantastyce i realności odsłoniętego okrucieństwa. Wyłania się on teraz – tytuł w motto powieści wszczepiony – w inskrypcję, wyjętą jakby z podręcznika fizyki, chłodną, beznamiętną, choć bezpośrednio związaną z sąsiedztwem ognia i papieru:

„456 stopni Fahrenheita – to temperatura, w której papier zaczyna się tlić i płonąć”².

Cywilizacyjne utopie budzą raczej mój chłód i obojętność. Jestem złym czytelnikiem futurologicznych baśni. Ale baśń Raya Bradbury’ego jest dla mnie właściwie sumą lęków dawniejszych, zwielokrotnioną przez oko przyszłości, oko mechaniczne i groźne. Moja pamięć była lojalna wobec wizji futurologa, choć nadała pewną dostojność i hieratyczny teatralizm kilku epizodom powieściowym. Wirus donkichotyzmu instaluje się także we mnie i cienie rzeczy każe mi widzieć ostrzej niż rzeczy same.

² R. Bradbury, *451° Fahrenheita*, tłum. A. Kaska, Warszawa 1993.